

## Dzisiejsze wczoraj

### LUBELSCY FILOMACI

JESLI „Reflektor” otrzymał tak zaszczytne miejsce w pamięci lublinian, coś koło tego powinno się należeć pewnej grupie literackiej, która istniała tu w połowie lat czterdziestych. Nie była to grupa w profesjonalnym tego słowa znaczeniu, jej członków nie łączyła wspólnota postaw artystycznych, czyli tzw. credo, jak to miało miejsce - toutes proportions gardez - w wypadku warszawskiego „Skamandra”, czy krakowskiej Awangardy we wczesnych latach trzydziestych. Łączyło to samo miejsce zamieszkania i trochę wspólnych okoliczności z lat szkolnych. Wymieńmy: Julia Hartwig, Anna Kamieńska, Jerzy Pleśniarowicz i niżej podpisany. Można jeszcze dodać Zygmunta Kałużyńskiego, który chętnie stawał w szranki we wszelkich sporach intelektualnych - co mu zostało do dziś - ale pisaniem „pięknym” się nie oszpecał, więc figurował w tej grupie na zasadzie trochę outsidera, trochę przekornego diabła, choć ze wszystkimi był w ścisłych koleżeńskich związkach. Można jeszcze dodać pół Igora Sikiryckiego. a to dlatego, że przez koleje losu do tego grona należał tylko połowicznie.

A wiec jest rok 45-6, jeszcze perspektywa powodzenia przez zamieszkanie w Warszawie nie wessała wszystkich aspirantów, grupka - jak zwykle młodzi - poszukuje sposobów zrealizowania się literackiego, w kategoriach trwalszych niż wzajemna wymiana przez siebie napisanych wierszy. I kto wie, czy to oczekiwanie, to wysokie mierzenie perspektywy nie było najcenniejszym okresem życiorysów. Jest to czas, kiedy siebie samego się widzi w obszarze niedokonań, a wiec w tej obszerniejszej przestrzeni, w której jest więcej miejsca wprawdzie tylko na nadzieje, ale za ta jakże jutrzeńne i obiecujące.

Zwróciliśmy się do redakcji „Życia Lubelskiego” z propozycją redagowania literackiego dodatku. Naczelny redaktor Hipolit Bolesławski odniósł się do tego z wielką rezerwą, słusznie nie widząc w przedsięwzięciu nie tylko zysków finansowych, ale jego samowystarczalności. Jednakże naczelni redaktorzy zazwyczaj mają żony, a pani Zofia Bolesławska miała nie tylko męża, ale i hobby mecenasowania młodym, a szczególnie powodowania czegoś, co nieoczekiwanie

wyskakuje jak diabełek z pudełka. W ten sposób pojawiła się strona gazety z naszymi tekstami. Już tam dowodnie widać, jaką byliśmy grupą: żadnego podobieństwa poetyk, jeśliby szukać dla nas wzorów, to skala objęłaby nazwiska od Przybosia do Staffa. Jedna stroniczika, ale to już dawało jako taką satysfakcję, szczególnie przy forsowanej na siłę nadziei owej systematycznie wychodzącej kolumny. To się jednak nie stało, realistyczne i arytmetycznie słuszne stanowisko męża pani Zofii dało się ukołysać tylko raz.

Co do Kałużyńskiego, pomiąłem pewien fakt. Dla konsekwencji jego rysunku. Napisałem mianowicie, że ten intelektualista, erudyta. chodząca encyklopedia (termin Irzykowskiego: klerk) nie splamił się tekstem z dziedziny twórczości. oryginalnej. Otóż, kiedyś tak. Napisał utwór sceniczny, który nazwał burleska (nie pamiętam już jaka: filozoficzna? obyczajowa?), zatytułowany początkowo „Fryzjerzy w walce z Psią Gwiazdą”, następnie „Kanikuła”. Utwór był nawet wystawiony w Łodzi, a także wydany książkowo. Sceny są tam ujęte groteskowo i surrealistycznie, ale co szczególnego: postaci dramatu, czyli dramatis personae to my, z jego najbliższego otoczenia wchodzący w skład grupy. Jakże osobliwe było ujrzenie siebie widzianego z zewnątrz, w „zobiektywizowanym” obrazie autora. Mówię „zobiektywizowanym”, bo chodzi przecież o utrafienie sylwetki mimo fantastyczności akcji, a daję cudzysłów, bo z zamiaru to była humoreska i karykatura. Ale nawet w tym drugim wypadku adres do autentyku był konieczny, więc stanowiło to jakiś przyczynek do zbiorowego samopoznania.

Takie były „gry i zabawy” młodych czterdzieści lat temu. A jakie są dziś? Dyskoteka, czyli upragnione bicie po głowie decybelami jak największymi aż do całkowitego zaniku świadomości, gonitwy po ulicy bez powodu i w jakimś dziwnym podnieceniu z potracaniem przechodniów całowanie się i przytulanki w miejscach publicznych, co jest tym dziwniejsze, że z utratą intymności ginie cały smak tego zajęcia. A czy z rozmów młodych wpadnie do ucha czasem coś z dziedziny myśli, piękna, moralności? To po cóż - nie przeciwdziałając temu – występujemy przeciw warunkom sprzyjającym powstawaniu technokratycznego społeczeństwa?

W mieszkaniu Kałużyńskiego (w krótkim czasie dwie zmiany nazwy ulicy: Niecała, Wyszyńskiego, Sławińskiego) znajdowało się centrum spotkań pokrewnych mu zainteresowaniami intelektualistów. Bywał tam często - dziś już nie lublinianin - magister (z pewnością już profesor) etnologii Jan Kowalczyk, trochę mniej często Jan Kogut (postać rdzennie i do dziś lubelska). Głównie, oczywiście, męska cześć grupki. Przychodziło się gadało, słuchało Kałużyńskiego – o dziwo - całkiem niezłe radzącego sobie z klawiaturą fortepianu. A przechodziło się koło - też trudno uwierzyć - drewnianego płotu. Taki sielski georgicznv obrazek niedaleko. od śródmieścia, na rogu Niecałej (dziś Sławińskiego) i Radziwiłłowskiej (dziś Dymitrowa). Najzwyczajniejsze (już zlikwidowane) drewniane kołki odgradzające dość zapuszczony sadek, a właściwie ugorek, na

którym znajdował się ładny (niepotrzebnie zburzony) pałacyk, mieszczący za okupacji Haus der NSDAP. Zaraz po wyzwoleniu ten pałacyk został oddany na potrzeby literatów jako ich mieszkania, tam też odbyło się pierwsze inauguracyjne zebranie (zjazd?) reaktywowanego po wojnie Związku Zawodowego Literatów Polskich, a co dla nas ważniejsze, miejsce zbiorowego poranku autorskiego naszej grupki.

Ale ta atmosfera. Typowo filomacka. Hartwiżanka to jeszcze nie autorka „Apollinaire'a”, Kamińska to nie postać z centrum literackiej sceny warszawskiej. Kałużyński to nie czołowy filmolog i czołowy enfant terrible polskiej krytyki, więc pragnienie skrzydeł jako jeszcze nie zaspokojone tym bardziej rozpierało jaźnie. Ile marzeń i projektów, bynajmniej nie sprecyzowanych, bo w oparciu o takie realia, przesuwano się w wypowiedziach i niedomówieniach. W końcu ten ciąg ku Warszawie zwyciężył - dla tych, którzy mu ulegli, z dodatnim skutkiem - ale zanim grupka się całkiem zwarszawiła i w wypadku jednego zkrakowiła. by później zrzeszować. była aktywnym czynnikiem życia umysłowego w naszym mieście. Tak, z tego czasu nie pozostawiła po sobie żadnego (prócz wierszy w „Życiu Lubelskim”) śladu, ale... Ale przecież - strzełę aż tak wysoko - Sokrates całkiem niczego nie napisał, a przeszedł do historii filozofii na jednym z czołowych, miejsc.

Ale cóż, że się z Lublina wyprowadzili, niektórzy aż w zaświaty. Jeszcze ani razu mi się nie zdarzyło - kiedykolwiek przechodziłem ulica 1 Maja, Kunickiego. Narutowicza, Sławińskiego, czy Biernackiego - nie uprzytomnić sobie postaci kogoś z naszej grupy, kto na danej ulicy mieszkał.

ZYGMUNT MIKULSKI